

STEPHEN
KING

JAKO RICHARD BACHMAN

BLAZE

ROZDZIAŁ 1

Gdzieś w tych ciemnościach był George. Blaze nie widział go, ale słyszał dobrze i wyraźnie jego głos, szorstki i odrobinę zachrypnięty. Ten głos zawsze brzmiał tak, jakby George był akurat przeziębiony. Pamiątka po wypadku z dzieciństwa. George nigdy nie mówił, co się stało, ale na grdyce miał fenomenalną bliznę.

— Nie ten, matole, chyba widzisz, że cały jest oblepiony naklejkami. Bierz chevroleta albo fordą. Granatowego albo zielonego. Ma mieć dwa lata. Dokładnie dwa, ani więcej, ani mniej. Taki samochód nikomu nie wpadnie w oko. I żeby nie miał żadnych naklejek.

Blaze minął nieduże auto ze zderzakiem oklejonym nalepkami i poszedł dalej. Nawet tutaj, na samym końcu parkingu, słychać było stłumione, dudniące basy dobiegające z piwiarni. W sobotnie wieczory, takie jak ten, knajpa pękała w szwach. Na dworze było diablo zimno. Blaze podjechał do miasta autostopem, ale już od czterdziestu minut wałęsał się po dworze i uszy zmarzły mu tak, że przestał je czuć. Zapomniał czapki. Bez przerwy o czymś zapominał. Chciał wyjąć ręce z kieszeni, żeby zasłonić uszy, ale George mu nie

pozwolił. Możesz je sobie odmrozić, powiedział, ale rąk nie możesz. Nie potrzebujesz uszu, żeby odpalić samochód na krótko. Na dworze było minus szesnaście.

— Ten — wskazał George. — Po prawej.

Blaze odwrócił głowę i zobaczył saaba. Z naklejką. Nie nadawał się zupełnie do wzięcia.

— To jest lewa — objechał go George. — Mówiłem: po prawej, matolku. Prawa ręka to ta, którą dłubiesz w nosie.

— Przepraszam, George.

Tak jest, znów zrobił z siebie matoła. Dłubać w nosie potrafił obiema rękami, ale wiedział dobrze, że prawa to ta, którą się pisze. Pomyślał o tej ręce i spojrzał w tamtą stronę. Ciemnozielony ford.

Blaze podszedł do niego, stąpając ze starannie udawaną swobodą. Obejrzał się przez ramię. Ta piwiarnia, do której należał parking, to był bar studencki. Nazywał się Worek. Głupio, bo przecież worek się ma z jajami. Knajpa mieściła się w suterenie. W piątki i soboty grała tam kapela. W środku na pewno było tłoczno i ciepło, a na parkiecie skakało mnóstwo dziewczynek w krótkich spódniczkach. Gdyby tak tam zajrzeć, tylko rzucić okiem...

— Co ty mi tu odstawiasz? — parsknął George. — Niedzielny spacer z rodziną? Mojej ślepej babci byś nie nabrał. Rób, co masz robić, tak?

— Dobrze, ja tylko...

— Jasne. Wiem. Ty tylko. Skup się na robocie.

— Dobra.

— Kto ty jesteś, Blaze?

Zwiesił głowę i pociągnął nosem, połykając gila.

— Matoł.

George zawsze mówił, że matolstwa nie ma się co wstydzić, ale fakt jest faktem i trzeba się z nim pogodzić.

Matoł nie nabierze nikogo, że ma nie wiadomo ile oleju we łbie. Wystarczy spojrzeć i wiadomo: światło się pali, ale w domu pusto. Matoł zawsze ma tylko zrobić swoje i spadać. A jak go złapią — od razu przyznać się do wszystkiego, byle nie sypał tych, co z nim byli. Bo całą resztę i tak w końcu z niego wycisną. George mówił, że matoły kłamią jak pierdoły.

Blaze wyjął ręce z kieszeni i dwa razy rozprostował dłonie. Kostki strzeliły w mroźnym powietrzu.

— Jesteś gotowy, byku? — zapytał George.

— Tak.

— To idę na piwo. Bierz się do roboty.

Blaze poczuł, jak panika ściska go za gardło.

— Ej, no nie, przecież ja tego nigdy nie robiłem. Zawsze tylko się przyglądałem, jak ty robisz.

— No to dziś koniec tego przyglądania. Działaj.

— Ale...

Urwał. Gdyby chciał mówić dalej, musiałby krzyczeć, więc nie miało to sensu. Śnieg skrzypiał twardo, kiedy George szedł w stronę piwiarni. Po chwili miarowy puls basu zagłuszył odgłos jego kroków.

— Jezu... — jęknął Blaze. — O Jezu Chryste.

I jeszcze do tego zaczęły marznąć mu palce. Przy takiej temperaturze będą sprawne tylko przez pięć minut. Góra pięć. Podeszedł do drzwi od strony kierowcy, pewien, że będą zamknięte. Gdyby się tak okazało, to samochód jest spalony, bo Blaze nie miał wytrycha. To George zawsze nosił wytrych. Tylko że drzwi były otwarte. Pociągnął za klamkę, pogmerał chwilę w środku, znalazł rączkę do otwierania maski i lekko szarpnął. Potem przeszedł na przód samochodu, wsadził palce pod maskę i podniósł ją, namacawszy drugi zamek.

Wyciągnął kieszonkową latarkę, którą miał przy sobie, włączył i skierował promień na silnik.

Znajdź przewód od zapłonu.

Ale to wyglądało zupełnie jak micha z makaronem. Kable od akumulatora, jakieś wężyki, przewody od świecy zapłonowej, przewód paliwowy...

Stał tak i zlewał się potem, który zamarzał mu na policzkach. Wiedział, że nie da rady. W życiu nie da sobie z tym rady. I nagle wpadł na pewien pomysł. Może nieszczególnie błyskotliwy, ale pomysły miewał tak rzadko, że kiedy już jakiś się trafił, to trzeba się było go trzymać. Wrócił do drzwi kierowcy i otworzył je z powrotem. Zapaliło się światło, ale na to już nie mógł nic poradzić. Ktoś, kto by go teraz zobaczył, pewnie pomyślałby, że nie może odpalić silnika i chyba nic dziwnego: wieczorem, w taki ziąb... Nawet George nie mógłby się przyczepić do takiego rozumowania. Gdyby nie chciał.

Blaze opuścił daszek przeciwsłoneczny nad kierownicą, mając wariacką nadzieję, że spadnie mu do ręki zapasowy kluczyk; niektórzy chowali je w tym miejscu. Ale właściciel tego samochodu trzymał tam tylko starą skrobaczkę do lodu i to ona spadła zamiast kluczyka. Blaze poszperał z kolei w schowku na rękawiczki. Było w nim pełno jakichś papierzysk. Wywalił wszystkie na podłogę, klękając na siedzeniu kierowcy i dysząc obłoczkami pary. Oprócz papierów znalazł pudełko Junior Mints, miętówek w czekoladzie, ale kluczyków nie było.

No i masz, cholerny matole, usłyszał w myśli głos George'a. Jesteś zadowolony? To teraz może chociaż spróbujesz odpalić na krótko?

Mogę spróbować, pomyślał Blaze. Przynajmniej wyrwę parę drutów i zetknę je razem, tak jak robił George. Zobaczymy, co się stanie. Zamknął drzwi i zgarbiony ruszył z powrotem na przód forda, ale nagle stanął w miejscu. Przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Wrócił,

otworzył drzwi, pochylił się, uniósł dywanik. I znalazł. Na kluczyku nie było napisane FORD ani w ogóle nic, bo był dorobiony, ale miał kwadratowy uchwyt i wszystko, co potrzeba.

Blaze podniósł go z podłogi i ucałował zimny metal.

Otwarty samochód, pomyślał, a potem: Otwarty samochód i klucz pod dywanikiem. A potem jeszcze: Są tu dzisiaj głupsi ode mnie, George.

Usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi, wsunął klucz do stacyjki — wszedł jak w masło — i zauważył, że nie widać parkingu, bo nie opuścił maski. Rzucił szybko okiem w lewo, a potem w prawo, żeby sprawdzić, czy przypadkiem George nie postanowił wrócić, by mu pomóc. Ciosałby Blaze'owi kołki na głowie do sądnego dnia, gdyby tak zobaczył tę maskę. Ale George'a nigdzie nie było widać. Na całym parkingu nic, tylko samochody, gęsto jak drzewa w tundrze.

Blaze wysiadł i zatrzasnął maskę. Potem wrócił do drzwi i nagle zamrł z dłonią wyciągniętą w stronę klamki. A George? Czy nie trzeba teraz iść po niego do tej knajpy? Przysiadł bokiem na siedzeniu, spuścił głowę i zmarszczył brwi. Lampka pod sufitem żółciła mdłym światłem jego wielkie dłonie.

Wiesz co, pomyślał wreszcie, prostując się z powrotem. Kij mu w ryj.

— Kij ci w ryj, George — powiedział na głos. George kazał mu przyjechać tutaj stopem. Umówił się z nim, a teraz znów sobie poszedł i zostawił go, żeby sam odwalił całą brudną robotę. Udało się, bo jakimś głupim fartem Blaze znalazł zapasowy klucz, więc George'owi teraz kij w ryj. Niech sobie połapie stopa, kiedy jest minus szesnaście.

Blaze zamknął drzwi, włączył bieg i wyjechał z parkingu, a gdy już wyprowadził forda na jezdnię, wcisnął gaz do dechy.

Samochód szarpnął, zarzucając tyłem po twardo ubitym śniegu, a Blaze nadepnął z całej siły na hamulec, porażony nagłym atakiem paniki. Co ja wyprawiam, zapytał siebie. Co ja sobie myślę? Jechać bez George'a? Złapią mnie, zanim ujadę pięć kilometrów. Albo nawet jeszcze szybciej, na najbliższych światłach. Nie mogę jechać bez George'a.

Ale przecież George nie żyje.

Pieprzenie! Przed chwilą z nim gadałem. Poszedł do knajpy na piwo.

Nie żyje.

— O rany, George — jęknął Blaze, garbiąc się nad kierownicą. — Ja nie chcę, żebyś nie żył. Żyj, proszę cię.

Przez chwilę siedział nieruchomo. Silnik pracował bez zarzutu, nie stukał ani nic, chociaż był zimny. Strzałka paliwa pokazywała trzy czwarte baku. We wstecznym lusterku kłębił się dym z rury wydechowej, biały i lodowaty.

George nie wyszedł z piwiarni. Nie mógł wyjść, bo nie wszedł. George nie żyje. Od trzech miesięcy. Blaze poczuł, że zaczyna dygotać.

Po jakimś czasie wziął się w garść, wdepnął gaz i ruszył. Na najbliższych światłach nikt go nie zatrzymał, na następnych też nie. Wyjechał z miasta i też go nikt nie zatrzymał. Kiedy mijał rogatki Apex, robił już osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu samochód trafiał kołem na zamarzniętą kałużę i ślizgał się lekko, ale Blaze'owi to nie przeszkadzało. Pozwalał się nieść poślizgowi. Jeździł po oblodzonych drogach już jako nastolatek.

Poza miastem dodał gazu do dziewięćdziesięciu pięciu i dopiero zaczęła się jazda. Reflektory obmaczywały drogę jasnymi palcami długich świateł, a zasy po obu stronach odpowiadały roziskrzonymi odbłaskami. Kurde, ale się student zdziwi, jak przyprowadzi swoją studentkę do samochodu, a

tam tylko puste miejsce. I co od niej wtedy usłyszysz? Ty matole. Ostatni raz gdzieś z tobą poszłam. Ostatni raz.

— Poszedłam — powiedział głośno Blaze. — Jak studentka, to powie: poszedłam.

Uśmiechnął się na tę myśl, a uśmiech odmienił jego twarz nie do poznania. Włączył radio. Było ustawione na jakąś rockową stację. Zaczął kręcić gałką, aż znalazł country. Zanim dojechał do chałupy, zdążył się już rozśpiewać na cały głos i kompletnie zapomnieć o George'u.

ROZDZIAŁ 2

Ale rano wszystko sobie przypomniał.

To właśnie jest przekleństwo matołów: rozpacz zawsze dopada ich znienacka, bo nigdy nie pamiętają o ważnych rzeczach. Tylko pierdoły trzymają im się głowy. Na przykład ten wierszyk, którego pani Selig uczyła w piątej klasie: „Gdzie bujny kasztan ściele cień, widnieje wiejskiej kuźni dach”. I po co to komu? Po co takie bzdury komuś, kto ni z tego, ni z owego łapie się na tym, że obrał kartofli na dwie porcje i wszystko nagle wali mu się na łeb, bo dociera do niego, że nie musiał tyle obierać? Nie musiał, bo ten drugi już nigdy nie zje choćby i pół kartofla?

Chociaż w sumie może to wcale nie była rozpacz. To słowo jakby nie do końca pasowało. Jeśli rozpacz oznacza wielki płacz i walenie głową w ścianę, to nie. Dla takich jak George nie robi się nic z tych rzeczy. Ale samotność — jak najbardziej. I strach.

George by powiedział: „Jezu, włożysz ty w końcu czystą bieliznę? To, co masz na sobie, można już o ścianę oprzeć. Ohyda”.

George by powiedział: „A drugi but kto ci zawiąże,

głupolu?”.

George by powiedział: „Weź się, kurwa, odwróć, bo widzę, że sam się porządnie nie przykryjesz. Niańczy chłopaka jak dzieciaka”.

Następnego dnia po kradzieży forda z parkingu pod piwiarnią George siedział rano w drugim pokoju. Blaze nie mógł go zobaczyć, ale wiedział, że siedzi jak zwykle w swoim głębokim, zapadniętym fotelu, a głowę ma zwieszoną tak nisko, że prawie dotyka brodą piersi. Jego pierwsze słowa brzmiały tak:

— Znowu dałeś dupy, King Kongu. Gratulacje-sracje.

Blaze syknął, kiedy jego stopy wylądowały na zimnej podłodze. Znalazł buty i wcisnął je na nogi. Zerwał się z łóżka goły — oprócz tych butów — i podbiegł do okna. Na podwórku nie było samochodu. Odetchnął z ulgą — z ust uleciał mu widoczny obłoczek pary.

— Nie dałem dupy — powiedział. — Wstawiłem go do szopy, tak jak kazałeś.

— Ale śladów to już nie pozamiatałeś, co? A może wywieszisz tabliczkę, co, Blaze? Napisz na niej: KRADZIONY SAMOCHÓD — TUTAJ. Mógłbyś go pokazywać ludziom za pieniądze. No jak, nie chcesz?

— Jeny, George...

— Jeny, George, jeny, George. Wyjdź i pozamiataj ślady.

— Dobra. — Blaze ruszył do drzwi.

— Blaze?

— Co?

— A może byś tak najpierw włożył gacie?

Blaze oblał się piękącym rumieńcem.

— Jak dziecko — westchnął George z nutą rezygnacji w głosie. — Dziecko, co już się goli.

George dobrze wiedział, jak dogryźć człowiekowi. Tylko

że znalazł się jeden facet, któremu George dogryzł za mocno i jeszcze to powtórzył. Jak się tak robi, można dostać czapę i to jest koniec cwaniackich tekstów. Teraz George był sztywny, a Blaze zmyślał sobie, że słyszy jego głos i sam podsuwał mu niezłe odzywki. George umarł w tym magazynie, do którego poszli grać w kości.

Chyba mi odbiło, że w ogóle próbuję z tym planem, pomyślał Blaze. Taki baran jak ja.

Mimo wszystko wciągnął bokserki (sprawdził najpierw uważnie, czy nie mają plam), potem podkoszulek z długimi rękawami, flanelową koszulę i parę grubych sztruksów. Jego traperki walały się pod łóżkiem, a parka z demobilu wisiała na kłamce u drzwi. Ciepłe rękawiczki z jednym palcem znalazł po dłuższych poszukiwaniach w kuchni połączonej z pokojem dziennym, na półce wiszącej nad starym, zdezelowanym piecykiem na drewno. Na głowę wciągnął kraciatą czapkę z nausznikami, pamiętając o tym, żeby daszek był odrobinę w lewo, na szczęśliwą stronę. Następnie wyszedł na dwór i wziął miotłę opartą o futrynę.

Poranek był słoneczny i dojmująco mroźny. Zaraz za progiem Blaze poczuł, jak cała wilgoć, którą miał w nosie, w jednej chwili zamarza z trzaskiem. Skrzywił się, kiedy wiatr dmuchnął mu w twarz śnieżnym pyłem, drobnym jak cukier puder. George'owi to łatwo rozkazywać, pomyślał. Siedzi sobie w domu, grzeje się przy piecu i popija kawę. A wczoraj wieczorem poszedł na piwo i zostawił mnie, żebym sam zrobił ten samochód. I dalej by siedział w knajpie, żeby nie mój czysty głupi fart z tymi kluczami, co je znalazłem pod dywanikiem czy tam w schowku, nie pamiętam. Blaze czasami odnosił wrażenie, że George wcale nie jest aż takim dobrym przyjacielem.

Usunął miotłą ślady opon, ale zanim zaczął, najpierw

przez kilka minut stał i je podziwiał. Bieżnik wyciosał w śniegu maleńkie, idealnie kształtne ścianki, które rzucały mikroskopijne cienie. Zabawne, że doskonałość może być aż tak drobna, że nikt jej nigdy nie zauważa. Patrzył sobie na nie do woli, aż w końcu się zmęczył tym patrzeniem (żaden George go nie pędził do roboty), więc zabrał się do zamykania krótkiego podjazdu aż do samej drogi. W nocy przejechał tędy pług śnieżny, odgarniając wydmy białego puchu, którym wiatr zawsze zasypuje te wiejskie trakty, mające po obu stronach szerokie, otwarte pola. Pług zatarł resztę śladów opon ukradzionego samochodu.

Blaze podreptał z powrotem do chałupy. Teraz już tam nie marzył. Kiedy wstał z łóżka, było mu zimno, ale po powrocie z dworu zrobiło się ciepło. To też było zabawne — jak różnie można odczuwać każdą rzecz. Zdjął kurtkę, buty i flanelową koszulę. Usiadł za stołem tylko w podkoszulku i sztruksach. Włączył radio i zdziwił się, kiedy zamiast rocka, którego słuchał George, z głośnika polały się ciepłe dźwięki country. To była Loretta Lynn; śpiewała o tym, jak dobre dziewczyny się psują. George, gdyby to usłyszał, pewnie by się uśmieł i powiedział coś w stylu: „Jasne, kotku — możesz mi się zepsuć prosto na twarz!”. A Blaze też by się roześmiał, ale gdzieś w głębi serca przy tej piosence zawsze robiło mu się smutno. Jak przy wielu innych piosenkach country.

Kiedy kawa była już gorąca, zerwał się i napełnił dwa kubki. Do jednego dodał sporo śmietanki i krzyknął:

— George! Kawa czeka, mistrzu! Bo ci wystygnie!

Cisza.

Spojrzał na stojącą przed nim białą kawę. On przecież zawsze pił czarną, więc po co mu to? No po co? Nagle coś ścisnęło go za gardło i mało brakowało, żeby złapał tę

cholerną białą kawę George'a i pieprzył o ścianę, ale w końcu się pohamował. Zamiast tego wylał ją do zlewu. To się nazywa: panować nad sobą. Dorosły facet musi nad sobą panować, bo inaczej narobi sobie kłopotów.

. . .

Blaze siedział w chałupie do obiadu. Po obiedzie wyprowadził ukradziony samochód z szopy i pojechał. Zatrzymał się tylko na chwilę przy schodkach do kuchni, żeby wysiąść i obrzucić tablice rejestracyjne pigułkami ze śniegu. To było sprytne zagranie. Trudno je będzie teraz odczytać.

— Co ty wyprawiasz, na miłość boską? — zapytał George; jego głos dobiegał z chałupy.

— Nie interesuj się — odpowiedział Blaze. — I tak jesteś tylko głosem w mojej głowie. — Wsiadł do forda i wyjechał na drogę.

— Mało to rozważne, co robisz — skomentował George. Teraz słysząc go było z tylnego siedzenia. — Prowadzisz trefny samochód. Nieprzemaalowany, na starych numerach, nic przy nim nie zrobiłeś. Dokąd cię niesie?

Blaze milczał.

— Nie jedziesz chyba do Ocoma, co?

Blaze milczał.

— No żeż kurwa, jedziesz do Ocoma — zgrzytnął George. — Ja pierdolę. Nie wystarczy, że pojedziesz tam raz, jak przyjdzie pora?

Blaze milczał. Nabrał wody w usta.

— Posłuchaj mnie, Blaze. Wracaj. Jak cię złapią, to wszystko szlag trafił. Wszystko. Cały plan.

Blaze wiedział, że George ma rację, a jednak nie zawrócił. Co to jest, że George zawsze musi rządzić? Nawet po śmierci

mu rozkazuje. Jasne, plan był jego: ten jeden duży numer, o którym śni każdy drobny macher. „Każdy inny by poległ, ale nam się uda”, mawiał George, ale najczęściej był wtedy albo pijany, albo na haju; nigdy nie brzmiało to tak, jakby naprawdę wierzył w swoje słowa.

Zajmowali się głównie małymi przekrętami, a George'owi na ogół to wystarczało — nieważne, co mówił po pijaku czy kiedy był najarany. Kto wie, może ten planowany numer w Ocoma Heights to była dla niego zabawa albo „mentalna masturbacja”, jak mówił czasami, kiedy zobaczył w telewizji, że jacyś goście w garniturach nawijają o polityce. Blaze wiedział, że George był bystrzakiem. Wątpił tylko zawsze w jego odwagę.

Ale teraz, kiedy już nie żyje, czy pozostał w ogóle jakiś wybór? Zdany na własne siły Blaze był absolutnie do niczego. Po śmierci George'a jeden jedyny raz próbował podszyć się pod domokrażcę, żeby wcisnąć jakieś babce zamówienie na męską odzież, i musiał spieprzać jak zając, żeby go nie zgarnęli. A przecież zrobił wszystko dokładnie tak samo jak George: wybrał nazwisko tej kobiety ze strony z nekrologami, zafundował jej taką samą gadkę i pokazał rachunki dla nabywcy płacącego kartą kredytową (mieli ich w chałupie całą torbę, i to z najlepszych sklepów). Potem przeprosił, że zjawia się w takiej chwili, i zapewnił, że jest mu bardzo przykro, ale interes to interes, a ona na pewno go rozumie. Powiedziała, że rozumie. Zostawiła Blaze'a w przedpokoju i poszła, jak mówiła, po portfel. Do głowy mu nie przyszło, że zadzwoni na policję. Gdyby nie wróciła do niego z tym rewolwerem, to pewnie dalej by czekał w przedpokoju i tak by go zastali gliniarze. Nigdy nie miał zbyt dobrego poczucia czasu.

Ale wróciła i wzięła go na muszkę. Widział dokładnie jej

broń: srebrny damski rewolwer, z inkrustacjami na bokach i rękojeścią wykładaną perełkami.

— Policja już tu jedzie — poinformowała Blaze'a — ale zanim się zjawią, masz się wytłumaczyć. Chcę się dowiedzieć, co to za szumowina z marginesu przychodzi obrobić wdowę, nad której mężem jeszcze się nawet ziemia dobrze nie zamknęła.

Blaze miał gdzieś te wyjaśnienia, których od niego zażądała. Odwrócił się na pięcie i rzucił do drzwi. Wybiegł na ganek, a z ganku po schodach na alejkę. Biegał całkiem szybko, kiedy już się rozpędził, ale tak już miał, że wolno się rozpędzał, a tego dnia dodatkowo obezwładniła go panika. Gdyby tamta babka pociągnęła za cyngiel, mogła mu wpakować kulkę prosto w potylicę — a cel był spory, bo łeb miał jak sklep — albo odstrzelić ucho, albo na przykład w ogóle chybić; z taką krótką lufą nigdy nic nie wiadomo. Ale nie strzeliła za nim.

Kiedy dotarł w końcu do chałupy, miał ściśnięty żołądek i pojękiwał ze strachu. Nie bał się aresztu ani pierdła, nie bał się nawet policji, chociaż wiedział, że jak zaczną go pytać, to na pewno pomieszą mu w głowie na amen, zawsze tak było. Przestraszył się tego, jak łatwo tamta kobieta go przejrzała. Jakby to było dla niej zupełnie oczywiste. George bardzo rzadko miewał takie wpadki, a poza tym zawsze wiedział, że klient się skapnął i umiał wyciągnąć siebie i Blaze'a z tarapatów.

A teraz ten cały plan. Blaze wiedział, że nie ujdzie mu to na sucho — wiedział, ale mimo wszystko brnął dalej. Może chciał wrócić za kratki. Może wcale nie byłoby tam tak źle, teraz, kiedy George nie żyje? Niech ktoś inny za niego myśli i daje mu żarcie.

Może przyjechał dziś do Ocoma Heights ukradzionym

samochodem właśnie po to, żeby go złapali? Sunął beczelnie środkiem miasta, pod samym domem Gerardów.

Nowa Anglia w zimie jest jak zamrażalnik, a ten dom przypominał lodowy pałac. W Ocoma Heights mieszkali „starobogaccy” (tak mówił George), a ich domy to były całe rezydencje. Ogromne trawniki, które zieleniły się wokół nich latem, teraz przypominały pola śniegowe. Zima była surowa tego roku.

Dom rodziny Gerardów był najlepszy ze wszystkich. George mówił, że wybudowano go w stylu „kolonialno-zasralnym”, ale Blaze’owi wydawał się piękny. George powiedział mu, że Gerardowie dorobili się na transporcie morskim i że pierwsza wojna dała im pieniądze, a druga zrobiła z nich żywych świętych. Słońce odbite od śniegu lśniło zimnym ogniem w oknach ich domu. Okien było dużo. George mówił, że mają tam ponad trzydzieści pokoiów. We wrześniu robił rozeznanie, podszywając się pod pracownika kompanii energetycznej Central Valley Power, który niby to odczytuje liczniki. Blaze jeździł wtedy z nim; prowadził furgonetkę, która nie była kradziona, tylko raczej pożyczona, chociaż gdyby policja ich złapała, to pewnie by było, że ją ukradli. Na trawniku pod boczną ścianą domu jacyś ludzie grali w krokieta; było tam kilka ładnych dziewczyn, na oko ze szkoły średniej albo może już z college’u. Blaze przyglądał się im, aż w pewnym momencie zaczął się podniecać. Kiedy wrócił George i kazał jechać, opowiedział mu o tych ładnych dziewczynach, których już wtedy nie było widać, bo przeszły na tył domu.

— Widziałem je — powiedział George. — Takim to się wydaje, że są lepsze od wszystkich. Że niby ich gównem nie śmierdzi.

— Ale i tak są ładne — upierał się Blaze.

— A kij z tym, ładne czy nieładne — warknął George marudnym tonem, krzyżując ręce na piersi.

— Czy ciebie w ogóle nie kręca laski, George?

— Takie jak tamte? Raczysz żartować. Zamknij się już i jedź.

Blaze przypomniał sobie tę rozmowę i nie mógł powstrzymać uśmiechu. George był jak ten lis, co nie mógł dosięgnąć winogron, więc mówił wszystkim, że są kwaśne. Panna Jolison czytała im tę bajkę w drugiej klasie.

To była duża, liczna rodzina. Byli starsi państwo Gerardowie — starszy pan Gerard miał osiemdziesiąt lat, a potrafił jeszcze codziennie obalić pół litra; tak mówił George. Oprócz nich byli młodsi i najmłodsi państwo Gerardowie. Najmłodszy pan Gerard nazywał się Joseph Gerard III i naprawdę był młody, bo miał tylko dwadzieścia pięć lat. Jego żona była parmenką. George mówił, że jak się pochodzi z Parmy, to znaczy, że się jest makaroniarzem. Blaze zawsze myślał, że makaroniarze to tylko Włosi.

Na końcu ulicy zawrócił i przejechał pod domem Gerardów jeszcze raz, próbując sobie wyobrazić, jak to jest wziąć ślub, kiedy się ma dwadzieścia dwa lata. Minął rezydencję i jechał dalej, do domu. Co za dużo, to niezdrowo.

Joseph Gerard III nie był jedynym potomkiem młodszych państwa Gerardów, ale jego rodzeństwo było nieważne. Ważne było dziecko. Joseph Gerard IV. Wielkie nazwisko jak dla takiego szkraba. Kiedy Blaze i George we wrześniu odczytywali liczniki, miał zaledwie dwa miesiące, więc teraz będzie miał, momencik, od września do stycznia jest raz, dwa, trzy, cztery, czyli teraz ma sześć miesięcy. Był to jedyny prawnuk pierwszego Josepha Gerarda.

— Jak chcesz kogoś porwać, to tylko niemowlaka — mówił George. — Taki mały dzieciak cię nie rozpozna, więc

nie musisz go kropnąć. Nie spróbuje ci zwać ani przekazać komuś listu do rodziny, żadnych gównianych numerów. Niemowlak tylko leży i nic nie robi. Nawet nie wie, że ktoś go porwał.

Ta rozmowa toczyła się u nich w chałupie, przy piwku, przed telewizorem.

— Ile mogą dać za takiego dzieciaka? — zapytał Blaze.

— Tyle, że już nigdy nie będziesz musiał w zimie sprzedawać lewych prenumerat ani kwestować na Czerwony Krzyż, odmrażając sobie przy tym dupsko — odparł George.

— Może być?

— Ale powiedz, ile im zawołasz?

— Dwa miliony — rzucił George. — Jeden dla mnie i jeden dla ciebie. Nie trzeba być chciwym.

— Chciwy zawsze wpadnie — powiedział Blaze.

— Chciwy zawsze wpadnie — przytaknął George. — Tak cię uczyłem. A robotnik do czego ma prawo, Blejziu? Tego też cię uczyłem.

— Do wypłaty.

— Otóż to. — George pociągnął łyk piwa. — Robotnik ma, kurwa, prawo do wypłaty.

. . .

Tak więc Blaze wracał do tej nędznej chałupy, w której zamieszkał razem z George'em po wyprowadzce z Bostonu na północ. Jechał z postanowieniem, że zrobi to, co wymyślił jego kumpel. Pewnie go złapią, ale... dwa miliony dolarów! Z taką kasą można wyjechać w jakieś ciepłe strony, żeby nigdy w życiu już nie marznąć. A jak złapią? To najwyżej posadzą na dożywocie.

I też już się nigdy w życiu nie zmarznie.

Blaze schował ukradzionego forda do szopy i tym razem

nie zapomniał, że trzeba pozamiatać ślady opon. George będzie zadowolony.

Na obiad usmażył sobie hamburgery.

— Naprawdę chcesz to zrobić? — zapytał George z drugiego pokoju.

— Leżysz w łóżku, George?

— Nie, stoję na głowie i walę konia. Pytałem cię o coś.

— Spróbuję. Pomożesz mi?

George westchnął.

— Chyba nie mam wyjścia. Muszę teraz z tobą zostać.
Ale wiesz co?

— Co?

— Bierz tylko milion. Chciwy zawsze wpadnie.

— Dobra, tylko milion. Chcesz hamburgera?

Nie doczekał się odpowiedzi. George znowu nie żył.